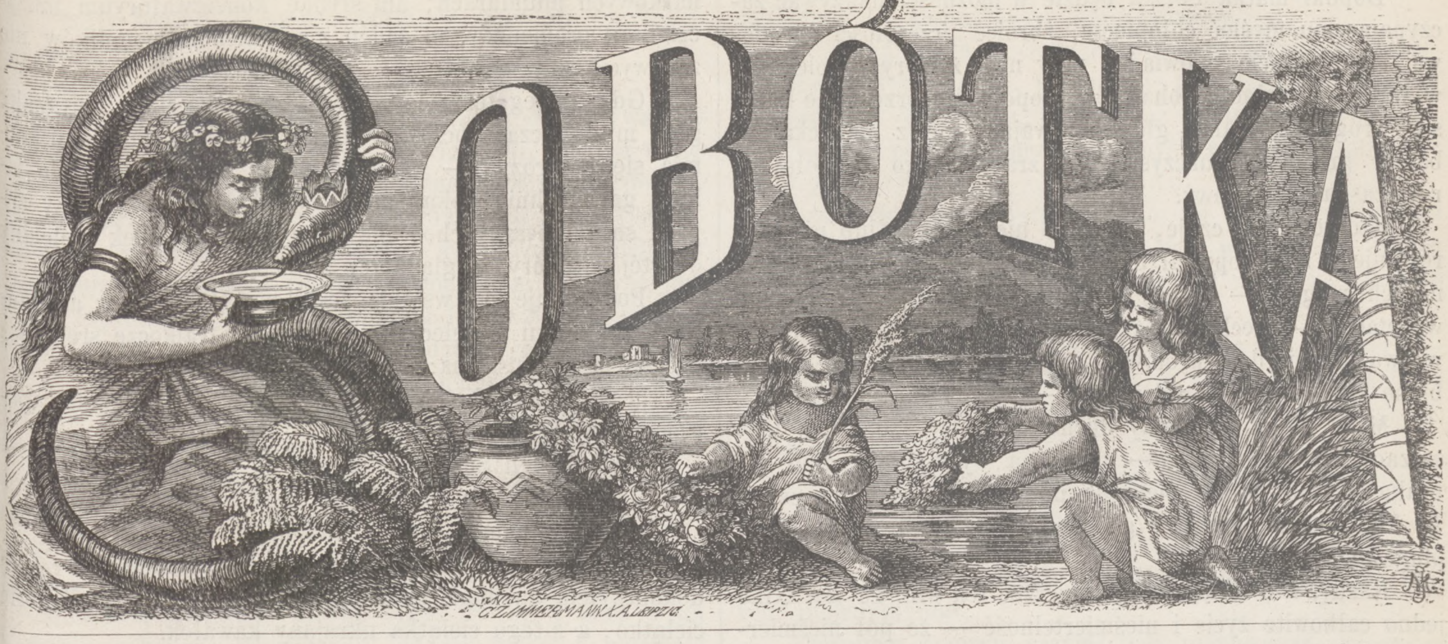
Nr. 5. Poznań, dnia 28. Stycznia 1871. Rok III.



TYGODNIK BELLETRYSTYCZNY ILLUSTROWANY.

Tygodniowo 1½ ark. Kwartalnie 15 sgr.; w Galicyi 1 fl. 15 cent. W poszytach czterotygodniowych po 5 sgr.

Z PODRÓŻY

przez

J. Gordona.

I.

Przechodniu, gdy w tę stronę zwrócisz swoje oko,
Przybliż się i rozważaj ten napis głęboko!

Skoro nas losy do Lipska zagnały, pójdźmy rozważać napis, bo tak nakazuje stara pieśń narodowa. Trzeba jéj być posłusznym!

Pójdźmy tedy odwiedzić pole bitwy i rzućmy gałązkę cyprysu tam, gdzie zginął ulubieniec wiarusów naszych, Poniatowski.

Na krańcu cienistego ogrodu radcy Gerharda szumi wązka, mętna, o stromych gliniastych brzegach Elster. Tam leży kamień, a na kamieniu wyryto z jednéj strony po łacinie, z drugiéj po polsku napis następujący:

„Tu w nurtach Elstery, Józef książę Poniatowski, naczelny wódz wojska polskiego, marszałek państwa francuzkiego, trzema śmiertelnymi dotknięty razami, okrywając ustęp wielkiego wojska francuzkiego i ostatni uchodząc z pobojowiska, życia sławie i ojczyznie poświęconego dokonał, w dniu 19. Października 1813.

„Tę skromną pamiątkę, łzami swemi skropioną, Polak współrodakowi, żołnierz wodzowi poświęcił.“

W środku ogrodu stoi grobowiec, z którego zwłoki wojownika przeniesiono do Krakowa.

Gdym odwiedzał to miejsce raz ostatni w 1866 roku, znalazłem je niestety w najgorszym stanie, w stanie zupełnego opuszczenia. Mówili mi nadto Niemcy, iż udawali się do przejeżdżających magnatów polskich z propozycyą o zakupienie gruntu pod rzeczonemi pamiątkami; gdyż ogród przeszedł w ręce nowego nabywcy, odgrażającego się, że wyrzuci takowe, jeżeli nikt nie załatwi tego interesu.

Nie wiem, co się daléj stało. Wątpić atoli muszę w pomyślny skutek, nie mając najmniejszéj wiary w dobrze zrozumiany patryotyzm dzisiejszych kapitalistów, którzy na gruzach rozćwiertowanego kraju powiedzieli sobie: „Après nous le déluge!“

Głucha boleść przejmuje mimowolnie serce na widok panującego zaniedbania, które, jakoby cecha bieżącéj epoki tranzycyi, na każdym niemal u nas pomniku piętno swe wyciska.

Coraz bardziéj zacierają się świetne zabytki dawnéj potęgi naszéj; — te zaś, co nie zaryte zostały twardym zębem czasu, których wróg obalić nie zdołał — upadły podkopane przez naszę własną obojętność. To smutno!

Przypuściwszy, że z ubożony naród zajęty jest myślą budowy przyszłości na zgliszczach i rumowiskach, to czyż w duszach przepełnionych miłością i poświęceniem dla ojczyzny, szmer wydobywający się z cmentarza przodków nie powinien znaleść posłuchania?...

To też z poniewierką spuścizny po ojcach, szła i poniewierka synów... panowie!

Wątpliwy zaiste plon z pyłu potłuczonych kurhanów, ze skiby rozsypanéj mogiły rodzicielskiéj, z zagona zaoranéj granitowéj historyi naszéj, jedynego świadka potoku ubiegłych dziejów.

Dopóki matka Polska będzie w możności ukazywać zaczynającemu myśleć chłopięciu, zbroice przeszłości narodowéj, i uroczyście opowiadać przy nich życiorysy poległych w walce za wolność bohaterów, dopóty nie przestanie lękać się wróg, aby jakiś głaz odrywający się z nienacka od baszty groźnego zamczyska lub zrabowanego kościoła nie roztrzaskał mu głowy.

Kto tego nie czuje, kto tego nie rozumie lub nie chce rozumieć, kogo opuścił duch praojców, ten niech usiądzie na ich mogile — któréj zgnilizna zdrowszą jest od jego wegetacyi — niechaj weźmie koronkę i klepiąc pacierze wzywa miłosierdzia królów, a spogląda pokornie na pohańbione skarby ognisk rodzinnych — na własne upolenie.

Może — za łachmany duchowéj nędzy rzucą mu błyszczące szychowe szaty — może na wyciągniętą dłoń żebraka spadnie palący pieniądz jałmużny, — a może zabije go klątwa lub powietrze grobów, za to że skalał je stopą plugawą.

Każdy, kto miłuje kraj szczerze, ten wie, że jest tylko jedno całkowite życie i nieśmiertelność — że pół nieśmiertelności i pół życia nie ma!...

Lecz wróćmy do naszéj podróży.

Opuściwszy ogród Gerharda, wałęsałem się bez celu po ulicach Lipska. Zwiedzałem kramy, oglądałem towary wystawione w oknach magazynów, z wyrobów nabierając wyobrażenie o kraju i jego mieszkańcach.

Na placu dotykającym do hotelu Polskiego zajęły mą uwagę bryki kupieckie, nakryte podejrzanego kolorn płótnem. Uwijali się koło nich pejsaci żydkowie w łapserdakach, co aż tutaj zajechali z Berdyczewa —, byle handel szedł!

Obok stały dwie szykowne damy, zajęte rozmową po niemiecku.

Zagawroniłem się troszkę, patrząc na ową grupę, mającą pewną malowniczość w kontrastach, gdy w tém powóz najeżdża na mnie. Oglądam się, odskakuję i trzebaż wypadku! nadeptuję na nogę jednéj z tych pań wytwornych — aż biedaczka krzyknęła: a j w a j!

A ja pomyślałem: nie pokonasz sztuką natury, siostrzyczko od Jordanu!

Przepraszam ją i pędzę daléj.

Nie ma większéj przyjemności nad pierwszą przechadzkę w krainie lub części miasta nieznanéj, nad błądzenie bez wyraźnego celu w obcym grodzie. Każde bowiem miasto ma swoją cechę, swój nawet zgiełk odrębny, charakterystyczny, jemu samemu właściwy.

Nie wiem, jak znalazłem się przed giełdą, w któréj roili się, niby my, spekulanci i lichwiarze lipscy.

W ogóle Lipsk wydał mi się jak ogromny kantor do załatwienia interesów pieniężnych. Widok jego jest dosyć posępny. Zdaje się, że chłód egoizmu wieje z każdego domu. Miasto samo przez się nie przedstawia nic nader godnego widzenia, zwłaszcza dla tego, komu znane są stolice cudzoziemskie. Z żółkłe tam mury, ruch, knajpy z kuflami piwa, tego nektaru niemieckiego, tudzież parowe kiełbaski, czem tuczą się obywatele potężnéj Germanii.

Ratusz na środku rynku odznacza się wprawdzie starożytnością, lecz ani gmach pocztowy z listonoszami w kanarkowych mundurach, ani słynne konserwatoryum muzyczne, ni promenady, ni żaden z rzadkich tu pomników nie zachwycił mnie wcale.

Gdy nabiegałem się do woli w różne linie i zygzaki głód mi dokuczać począł. Trudno w dzisiejszym wieku karmić się ambrozyą — wpadam zatem bez namysłu do jakiejś garnkuchni, dokąd mnie zwabił dosyć przyzwoity zapach sosu i pyszny choć nie estetyczny pośladek cielęciny odartéj ze skóry, wyglądający z lufcika.

Podskakuje na wstępie fertyczna Mädchen w aksamitnym kaftaniku z szeleczkami, i coś mi trajkocze srebrnym głosikiem nad uszyma:

„I c h v e r s t e h e n i c h t D e u t s c h“ odpowiadam, pogłaskawszy ją pod bródkę.

„Was wolen Sie mein Herr!“

„Geben Sie mir ein Schtick oxen Sohn?“

„Was?... oxen Kind?... Kalpfleisch?“

„No... ja, ja! richtig meine liebe Freiland“ i resztę dokończyłem na migi, pokazując jéj wielkiego wołu i małe cielątko, a z tego cielątka ukrajany kawałek.

Po takiéj dopiero rozmówce z przebiegłą Niemkinią zjawia się porcya pieczystego, ale z nią zjawiają się także jakieś zakazane figury z faforytami, które przyszły z drugiego pokoju oglądać biednego tułacza, za to, że się nie nauczył ich języka. I cóż wtem zdrożnego?

Złym na Szwabów, co mi spokojnie zjeść nie dadzą; przetrącam tedy co tchu, popijam l a g r e m - b i e r, płacę s i l b e r g r o s z a m i, i wynoszę się swym kosztem.

Z tamtąd zachodzę do kawiarni Paryzkiéj, jedynéj w Leipzigu urządzonéj z konfortem. Narkotyk mokki po jedzeniu ma zawsze coś mile upajającego! Humor mi się polepszył, i chciałem sobie pogawędzić z ładną panną fartuszkową za bufetem; ale cóż? kiedy te draby Niemcy i tutaj zaczęli mnie oglądać.

Przygody te przypominają mi pewnego brata emigranta, który nie umiejąc po francuzku, a chcąc sobie w Strasburgu sprawić daszek do czapki, rzekł do kupcowej z pełną ufnością:

„Madame, donnez-moi un c i r c o n f l e x e!

Lipsk pod względem ochędóstwa i przemysłu nie może pójść w porównanie z Droznem. Tylko w czasie jesiennego jarmarku zamienia się on w olbrzymią targowicę, napełnioną budami, tragarzami i wózkami, pomiędzy któremi cisną się przechodnie i gdzie kupczyki pakują towary i zgarniają monetę.

Ciekawy to jarmark! Tam Grek w białéj tunice rozprawia z Turkiem w zawoju — Prusak z Francuzem — Polak z Kacapem — jak na maskaradzie. Tu na wyniesieniu z tarcic hałasuje cała rodzina skoczków, zwołujących na wspólne widowisko: pies im bębni na tamburynie, a kucyk wybija takt kopytem i strzyże uszkami. Tam angielskie y e s! francuzkie o u i, o u i! owdzie H e r r G o t t! a nawet komplement czysto moskiewski! „Kak ja tebia lubliu, sukin ty syn'“ słyszeć się daje.

Rzekłbyś, że to walny sejm ludów, które z postępem cywilizacyi porozumiały się przecież i zbratały ogniwem miłości i zgody.

Gdzie tam! Wszystko to ugania się za groszem — to tylko żółty kruszec łączy ich dzisiaj, a jutro znowu za łby się pobiorą.

Nagle ujrzajem się koło kramów tandeciarzy.

Znowu Jerozolima! równouprawnieniem echt-obywatele, panowie faktorzy! To Pociejów warszawski, kto go sobie przypomina... Domy przylepione jeden do drugiego piętrzą się wysoko, w oknach suszą cerowane pończochy i widać gdzie niegdzie z za szybki gęstowłose żydóweczki. Chichoczą i zakąsują makagigi, a twarze rekomendują je, że ta jest Ryfka Lejzner, a tam ta na wydaniu Roche Szmul, chociaż jakby dzieci jednéj matki — zresztą udatne, jak inne kobiety.

Cały ten okrąg składa jakby jedną bóżnicę, któréj brakuje tylko wspólnego dachu. Do koła wiszą przechodzone i nowe różnéj barwy suknie i futerka, buty i rupiecie tandeciarskie — podedrzwiami sklepów stoją skrzynie z zardzewiałem żelastwem, ułamkami mosiądzu itp. — a wszędzie szwar, szwar! haru, haru! przytem odór czosnku i cebuli.

Uciekam ztamtąd, mijam różne zaułki i ulice w téj siedzibie pokolenia Merkurego, aż na jednéj z kamienic schludnych, bez żadnéj w oknach wystawy, uderza mię napis nad bramą: „F. A. Brokhaus.“

Wchodzę na podwórzec.

Pod skromną firmą jednego z najbardziéj renomowanych księgarzy na kuli ziemskiéj, ujrzy tam wędrowiec rozległy gmach, którego rozmiarów nie można dojrzeć z frontu. Gmach ten składa się z kilku kwadratowych dziedzińców, otoczonych piętrowemi oficynami. Z jego cegieł możnaby zbudować osobne małe miasteczko.

Na dziedzińcu leżą paki, mające odbyć przejażdżkę do różnych części świata.

Oficyny zajęte są drukarniami, introligatornią, składami książek, z których jedne spoczywają w stosach arkuszy, nakształt filarów czworogrannych z białego marmuru, drugie gotowe do drogi ukazują się z szaf, niby rozumy oprawne w angielskie płótno, z pozłotą na wierzchu.

W głównym korpusie mieszczą się biura wydziałów zakładu, dającego zatrudnienie około pięciuset robotnikom.

Zakład istnieje od r. 1805; utrzymuje niektórych współpracowników, jak profesorów encyklopedystów, na stałéj pensyi; wydaje kolekcye dzieł wyborowych, we wszystkich niemal europejskich językach, niewyłączając i rosyjskiego.

Rodzina Brockhausów jest arystokracyą pracy.

Wydawnictwo „Biblioteki pisarzy polskich“, rozpoczęte w 1860 r. obejmuje już przeszło sześćdziesiąt tomów. Jestto bez przesady, monument nowoczesnéj literatury naszéj w najozdobniejszem wydaniu.

„Biblioteka“ ma na celu przechować te z celniejszych płodów piśmiennictwa naszego, któreby przez rządy despotyczne podciągniętemi pod artykuł prawa czyli bezprawia, zakazanemi i zniszczonemi być mogły.

Plan takowy podał Brockhausowi zajmujący się przy nim wydziałem słowiańskim pomocnik, p. E. Kasprowicz, Krakowianin, i wprowadził go bezpośrednio w wykonanie. Wielka to zaprawdę z jego strony zasługa.

Zwiedzając ów pouczający zakład, patrząc na obrót kół i walców drukarskiéj prasy, zdumiewać się przychodzi nad procesem komunikacyi myśli ludzkiéj.

Myśl zamknięta w ciele pierwowzoru człowieka, słaba, nie pewna siebie saméj, poczęła się pierwiastkowo objawiać niewyraźnym dźwiękiem, jako wyraz ograniczonego umysłu, zanim parta potrzebą łączności z myślą bliźniego, zamieniła się w żywe słowo.

Lecz głos nie wystarczał do jéj rozpowszechnienia w miarę zawiązywania się towarzystwa, w miarę jak mówca znajdował coraz więcéj słuchaczy, filozof uczniów, a kapłan wiernych swéj nauce.

Wtedy myśl lekka, eteryczna, zdobywa sobie obszerniejszy zakres działalności, osiadając w widomych znakach na liściach papyrusu, zkąd przenosi się na mieszkanie do skrętków pargaminowych.

A tak słowo wyzwolone z ust, przeistoczone w pismo, przechodzi z miejsca na miejsce, z rąk do rąk, odbija się tysiączném echem, najprzód o tabliczki woskowe pod stylem pierwotnych pismaków, a potém o pargaminy pod piórem Benedyktynów.

Cierpliwy papyrus przyjął tedy najpierwsze zwierzenia się człowieka, pomysły jego mózgu i tajemnice serca; — stał się nawet atomem reakcyjnym, wiernym oddziaływaczem na społeczeństwo, tak, jak gdyby sam żył i zdawał sobie rachunek ze swego szczytnego przeznaczenia.

Aż tu zjawia się Guttenberg!

Śmiały ów cyklop roztapia ołów i każe mu krzewić oświatę hurtem po tym planecie.

Wiedza — dzięki pokornym czcionkom — staje się karmem powszednim.

Książka jest to bogaty relikwiarz wszechwiedzy rodu ludzkiego. Porzuciła ona już kryjówki zakonów i pałaców, a przeciska się w różnych formatach do dworków mieszczańskich, do chat wieśniaczych, do komórki dziennego wyrobnika, do warsztatów i na poddasza; widać jéj karty w rękach doróżkarzy i posługaczy brukowych.

I wszędzie, jak Opatrzność, sieje oświatę.

A udusić jéj nie można!

Literatura, to rozmowa myśli, jest tak subtelną, iż umie przemykać się niepostrzeżenie w razie niebezpieczeństwa.

Nie od dziś postrzegamy u nas ten fenomen żywotności ducha. Od lat kilkudziesięciu zabiera głos coraz inny ziemi polskiéj zakątek.

W czasach ogólnego prawie oniemienia Warszawskie Towarzystwo Przyjaciół Nauk staje się ogniskiem myśli. Od niego zapala pochodnię Wilno, Krzemieniec — i współubiegają się z sobą na korzyść światła przez lat blisko trzydzieści.

Zdławione obuchem przemocy, gasną!

A natomiast ożywia się Poznań, Kraków i Lwów, aby zajaśnieć w ciemnościach.

Lipsk zaś przypatruje im się tylko i czeka na uboczu, jakby warownia z rezerwą książkową.

Przyszło bowiem do tego, że już obecnie nie akademie ani stowarzyszenia uczonych, nie klasztory ani biblioteki możnowładców naszych, lecz wydawcy i księgarze, tacy Brockhauzi i Żupańscy utrzymują nienależne życie piśmiennictwa, dając mu schronienie.

ALEKSANDER DUMAS.

(OJCIEC.)

Rys biograficzno-literacki.

(Dokończenie.)

„Byłem więc sekretarzem Dumasa! Zaszczytny ten urząd podzielało zemną kilku jeszcze innych — chociaż w rzeczywistości była to tylko służba domowa i kopiści. Nawet Rusconi zwał się sekretarzem. Przyjaciele domu znali tego starca chudego, z niemiłym wyrazem twarzy i strzegącego jak Cerber drzwi swego pana. Przed piętnastoma laty, Rusconi był lokajem u pewnego generała, przyjaciela Dumasa. Generał czując się bliskim śmierci przywołał Dumasa i rzekł:

„Przyjacielu! Bębnią na apel!... Muszę się stawić!... Co się stanie z moim starym Rusconim?"

„Bądź spokojny, odpowiedział Dumas, wezmę go pod opiekę."

Generał umarł, Dumas wprowadził Rusconiego do swego domu i odtąd aż do śmierci miał tam stół, mieszkanie i sto fr. miesięcznie. W zamian obowiązki były następujące: Co rano wchodził do sypialni Dumasa, z zapytaniem:

„Czy nie ma pan rozkazów do dania?"

„Nie, mój kochany, idź na śniadanie!"

I Rusconi szedł na śniadanie, następnie na obiad, w końcu na spoczynek, by nazajutrz ten sam program powtórzyć. Trwało to tak przez lat piętnaście, aż do śmierci starego sługi. Jednakże, od czasu do czasu i Rusconi pracował. Zimą, kiedy ogień gasł na kominie, Dumas nie lubiąc używać dzwonka, zwykł był brać ostatnie drewno i uderzać niem trzy razy w podłogę. W kilka chwil po danym sygnale, Rusconi przynosił drzewo i znowu pytał:

„Czy nie ma pan innych zleceń do dania?"

„Nie, mój kochany, możesz iść na obiad!"

W koło Aleksandra, którego ruina finansowa wszystkim, prócz jemu samemu, była znana, kręcił się mały światek, żyjący kosztem jego. Co dzień przy stole, jak za czasów świetności na Montechristo, były nakrycia dla przyjaciół. Stół był zastawiony zwykle w małéj oranżeryi na drugiem piętrze, a przy nim prawie zawsze siedziało 12 osób. W liczbie współbiesiadników codziennych był, dziś już nie żyjący towarzysz lat dziecinnych Dumasa, którego po 14 latach niewidzenia, spotkał raz wypadkiem na Bulwarach Włoskich. „Ach! to ty? Gdzie jadasz?" spytał Dumas.

„Dziś nigdzie" odpowiedział zapytany.

„Chodź do mnie na obiad!" rzekł Dumas, biorąc towarzysza pod rękę, i w kilka chwil potem siedzieli już za stołem w hotelu na ulicy Amsterdamskiéj.

Po obiedzie zwrócił się Dumas do nowego gościa, mówiąc:

„Nie mogę się nacieszyć dzisiejszem spotkaniem.—Jutro czekam Cię z obiadem."

I tak codziennie, przez lat pięć, ażeby nie drasnąć miłości własnéj przyjaciela, stwarzał zawsze nowe i pełne delikatności powody zaprosin. — Dumas nieznosił zapachu tytoniu, niechcąc jednak wyrządzić przykrości przyjacielowi, zmuszał go zwykle do palenia.

Mógłbym setki przykładów takich o nim przytoczyć.

Nie chcę dziś wiedzieć, czy ten medal niemiał odwrotnéj strony swojéj i czy ta hojność nie zmuszała go czasem do zaniedbywania ważnych obowiązków życia. Pełną ręką rzucał on na wszystkie strony, tak że hojność przerodziła się w nieporządek panujący do końca życia tego fantastycznego ducha. Pieniądz nie miał dla niego wartości. Paląca imaginacya, unosząc go na złotych skrzydłach fantazyi, nie pozwalała widzieć rzeczy takiemi jakiemi były. Nędzne strony życia, uchodziły uwagi jego. Zajmować się wekslami, dodawać cyfry, urządzić bilans między ma i winien dla Dumasa... Co za niedorzeczność! Od chwili w któréj Parcher dał mu 50 franków za pierwszy vaudeville napisany wspólnie z Leuven'em w r. 1825, ileż grosza zapracowanego i roztrwonionego! Dumas był hojnym z zapomnieniem o jutrze. Lafleur jaki np. z obowiązał się kieszenie jego napełnić złotem, inny znowu wykradał je. I wtenczas nawet, kiedy zima życia nadeszła, kiedy już tłum zwracał się ku innym bożyszczom, Dumas jeszcze zachował wszystkie pozory i illuzye młodego wieku. Zdawało mu się, że tak jak bywało niegdyś, wydawcy i dyrektorowie teatrów zapełniają jego przedpokój i tak jak niegdyś nie troszczył się o sprawy swego domu.

Wielki pisarz nie miał czasu zajmować się drobnostkami życia codziennego. W tym celu otaczał się on osobistościami, które jak rekiny czyhające przy statku na zdobycz, nigdy go nie opuszczały.

Jeden z takich rekinów przyszedł pewnego rana z prośbą o kupno zegarka. Dumas zegarka nie potrzebował — nabył go jednakże z litości dla proszącego. Umowa skończona — chodziło tylko o zapłatę — dnia tego pieniędzy nie miał. Ale o co chodzi. Weksel wystarczy, dał więc weksel. Po tém pierwszem kupnie zegarka, przyszedł następnie łańcuch, i t. d. tak, że Dumas po pięciu latach winien był temu przekupniowi około 60,000 franków, które wypłacił ze 100,000 fr. otrzymanych z rąk Michała Lévy, za prawo korzystania z dzieł swoich przez lat 10. Po téj wypłacie zostało Dumasowi 40,000. Było to w chwili nabycia w Marsylii małego statku, którym sam chciał na morzu kierować. Przed wyjazdem z Paryża potrzeba było zaspokoić na prawo i lewo różne należności, wynoszące zapewne znaczną sumę, kiedy w ośm dni po wypłacie 100,000 pisał do wydawcy z prośbą o pożyczkę 100 luidorów, wyrażając się, że ich na gwałt potrzebuje. Sto tysięcy franków rozpłynęły się jak śnieg na wiosnę. Nie dziwcie się temu, pomnąc, że stary marnotrawca rozpoczął od wypłaty 60,000 fr. za złoty zegarek, który, nawiasem mówiąc, nie wart był 50, i który od chwili nabycia tylko przez kwandrans po nakręceniu ofiarował się z usługą.

Wszystko to co piszą o produktywności wielkiego powieściopisarza i wszystko nawet co sam o sobie w pamiętnikach mówi, niczem jest w porównaniu rzeczywistości. Żelazne zdrowie zwyciężało wszelkiego rodzaju znużenie; pracował w każdéj godzinie, dniem i nocą jak owe piece w wielkich fabrykach; szedł ciągle naprzód, nie myśląc o dniu wczorajszym i nie troszcząc się o jutro. Szczodra natura obdarzyła to zepsute dziecko nie tylko potężnym umysłem, ale porówno siłą muszkułów, pamięcią cudowną i łatwością przyswajania, czego dowód sam miałem. Pewnego rana, przy śniadaniu mówiłem z nim o Cosmos Humbolta, którego przed chwilą czytałem. Wziął mi książkę z ręki i przez 10 minut przerzucił ją całą; w kilka dni potém ukazuje się w Montechristo ustęp naukowy o którym przy śniadaniu mówiliśmy, napisany z wielką znajomością i ścisłością.

Ta zadziwiająca zdolność podszycia się, jak zwykle mówią, pod cudzą skórę, objaśnia jego skłonność do współpracownictwa innych. Jedno słowo wypadkiem rzucone w rozmowie, czyjaś fałszywa idea np. o sztuce, wystarczała do zatlenia imaginacyi i stworzenia oryginalnego obrazu. Mózg jego był jak ogień probierczy, przerabiający grube minerały na metal lśniący. Przynoszono mu wszystko: haczyk, garstkę ziemi, miedź lub kawałek żelaza, wszystko w tym ogniu strawione było, oddając w zamian powieść, dramat lub komedyjkę

Pewnego razu, wieczorem opowiedziałem Dumasowi treść, stworzoną przezemnie do jednoaktowéj komedyi. Nie wstydzę się przyznać, że idea była niemądra. Nazajutrz po śniadaniu Dumas rzekł do mnie: „Przeczytam panu komedyjkę napisaną dzisiaj w nocy.“

I rzeczywiście przeczytał mi jeden z najpiękniejszych kawałków repertuaru swego. Ideę wziął wczoraj odemnie, lecz jakże ją zmienił i ustroił. Pożyczył tylko dla siebie punkt wyjścia, jedno nic, iskrę rozżarzającą ogień probierczy, z którego o wschodzie słońca wydobył małe arcydzieło.

Przyznać należy, że niejeden ze współpracowników Dumasa, przyniósł talent stosunkowo dosyć wielki, ale on to dał ich dziełom ruch i życie, dał popularność. W ogromie wydawnictw Dumasa, niema jednéj stronnicy z podpisem jego, bez własnoręcznych poprawek podpisanego. Twierdzący przeciwnie, są albo naiwni, albo złéj woli.

W dziełach Dumasa uderza głównie potężna indywi-



Pałac w Rokosowie.

Rysował ks. Królikowski. Rytowano w drzeworytni Sobótki.

dualność. Porównywano dzieła Dumasa z dziełami samodzielnemi jego współpracowników i jakże niekorzystny dla tych ostatnich sąd wypadł. Z nudnego i trywialnego manuskryptu, umiał on w godzin kilka stworzyć najpiękniejszą powieść lub komedyę. Dumas w wysokim stopniu posiadał instynkt sytuacyi. On to go zrobił królem teatru i dał tyle powabu jego powieściom. Jak ów fantastyczny poszukiwacz źródeł, który chodząc po polach uderza końcem laski i mówi: „Tu znajdziecie wodę!“ Dumas miał dar stworzenia arcydzieła z kilku zabazgranych kartek początkującego literata. Jeden rzut oka wystarczał mu do odkrycia na prostym gruncie żyły metalu, którą, jak nikt dotąd, potrafił zużyć.

Dumas nie miał przyzwyczajeń właściwych ludziom pióra, pracował wszędzie i zawsze, byle tylko miał pióro, kałamarz i ulubiony błękitny papier; sto razy od pracy oderwany, sto razy do niéj zasiadał i pisał daléj, od miejsca na którém go rozmowa ze współpracownikiem lub gościem zatrzymała.

Ażeby dać przykład z jaką łatwością przerywał i rozpoczynał pracę, wracam do idei ulubionéj przez niego, tłomaczenia Zbójców.

Razu jednego rzekł do mnie:

„Chciałbym bardzo widzieć tę sztukę graną w Berlinie; ale ponieważ nie mam czasu do stracenia, zechciéj się Pan dowiedzieć, kiedy ją grać będą.“

W téj chwili napisałem z żądanem zapytaniem do Intendenta teatrów w Berlinie. Odpowiedź była następująca:

„Niech pan Dumas sam wskaże dzień dla niego do reprezentacyi najdogodniejszy.“

„Bardzo dobrze!“ rzekł Dumas, „napisz, że pojutrze, t. j. we Wtorek będę w Berlinie.“

Następnie uderzywszy trzy razy drewnem w podłogę, rzekł do wchodzącego Rusconiego:

„Mój kochany! Jutro o godzinie 7 wyjeżdżam. Zabawię w podróży dni cztery. Muszę więc zostawić dla Siècl'a 4 feletony. Od téj chwili aż do jutra nikogo nie wpuszczaj! Idź teraz i przyjdź jutro uprzedzić mię półgodziny przed odjazdem!“

Nazajutrz rano, w poniedziałek Dumas wyjechał zostawiając cztery feletony; we wtorek był w Berlinie na przedstawieniu, a we środę już wracał by módz we czwartek rano stanąć w Paryżu.

Wypadek opóźnił powrót — przybył dopiero około godziny 12 wieczorem.

„Zdawało mi się, że się ta droga nigdy nieskończy“ krzyczał Dumas wchodząc do domu, „a muszę przecie na jutro feleton napisać!“

I nie zdejmując paletotu siadł przed biórkiem i zaczął pisać powieść od tego miejsca, na którem przed wyjazdem stanął. –

Ale jeżeli mógł pomimo przeszkód pisać powieść, to rzecz się inaczéj miała ze sztukami dramatycznemi. Bez wyjaśniania, każdy sam pojmie łatwo różnicę między trudnościami pisania powieści a dramatu. Awanturniczy charakter powieści pisany do gazet z dnia na dzień, pozwala na pewne zboczenia, których dramat wzbrania; w feletonie n. p. można naprędce wtrącić kilka rozdziałów, odwracających uwagę czytelnika od głównéj nici intrygi, i nic to nie przeszkadza, by jutro do głównéj treści wrócić. Teatr ma inne wymagania. Wszystko co się bezpośrednio nie wiąże ze sztuką, jest zbyteczne i nudne. Autor dramatyczny zdąża do założonego celu najkrótszą drogą; przerwać scenę i zastąpić ją prelekcyą w przedmiocie obcym rozwijaniu się sztuki, jest to zapewnić jéj upadek niechybny. Autor dramatyczny zmuszony jest ciągle skupiać swoją ideę. Dumas nawet, pomimo niezwykłego daru, nie mógł siąść bez pauzy do pisania sceny, którą mu przerwano. Jeżeli jako powieściopisarz nie miał on nigdy drzwi dla przyjaciół zamkniętych, to jako dramaturga nigdy nie były otwarte. Kiedy pisał dramat lub komedyę, nikogo nie przyjmował. Zamknąwszy się w pracowni urządzonéj w małéj altance, dla nikogo nie był widzialnym. Jeżeli przychodzień nastawał, Rusconi odpowiadał:

„Nie można! Pan pisze teatr!“ I wiedziano, że w téj chwili apelacyi nie było.

Lecz jeżeli który z pisarzy miał prawo do kilku godzin samotności, to z pewnością Dumas. Będąc znany przez cały Paryż, znając połowę, nie umiejąc nic nikomu odmówić, Dumas miał połowę czasu z absorbowanego różnemi osobistościami żądającemi to listu rekomendacyjnego, to loży w teatrze, to usługi już nie wiem jakiéj. On wszystko i wszystkim udzielał, zapominając, że poprzednio te same przyrzeczenia zrobił trzem innym. W początkach naszéj znajomości prosiłem go raz z rana o lożę do Teatru Francuzkiego, gdzie grano jego „Pannę de Belle-Isle.“

„I owszem“ odpowiedział Dumas, i w téj chwili napisał słów kilka do sekretarza teatru pana Verteuil, z prośbą dla mnie o lożę.

Iść do Teatru Francuzkiego i to do loży jeszcze! Osądzcie radość parafianina. Pobiegłem do teatru, a mając rekomendacyę od Dumasa z dumą rzekłem:

„Panie Verteuil! List od pana Dumasa.“ Spodziewałem się, że usłyszawszy nazwisko, sekretarz rzuci się mi do nóg, tymczasem inaczéj się stało; zrobił wielki grymas i krzyknął:

„Ach! czyż ten kochany Dumas zwarjował! Jest to już dziś siedmnasta loża, którą odemnie żąda. Przyjdź Pan inną razą!

Dumas rzadko bywał w teatrze. Widywałem go czasem na przedstawieniach sztuk Syna, tego drugiego Dumasa, którego dla odróżnienia nazywano poprostu Aleksandrem.

Ileż potwarzy rzucano na stosunek Syna do Ojca! Złośliwi upatrzeć chcieli zazdrość autorską między niemi, inni znowu twierdzieli, że różnica charakteru jest przepaścią dzielącą ich z sobą. O głupi paszkwilu! Czegoż nie jesteś zdolny stworzyć?! Dumas uwielbiał Aleksandra, a Aleksander był najczulszym i najlepszym synem. Nigdy nie widziałem Dumasa więcéj uszczęśliwionego, jak po przedstawieniu czwartego aktu Syna Naturalnego, w którym scena między dwoma ojcami spierającemi się o ojcostwo, wywołała bardzo wielki entuzjazm. Ten Dumas, którego poufnie, przez sympatię nazywaliśmy Ojcem, biegał po korytarzach teatru wykrzykując:

„Ach! moi kochani! Jakież wielkie powodzenie! Wszyscy są zachwyceni. Od czasów Molièra, nikt nie stworzył nad tę silniéjszéj sceny.“

Chociaż autorska popularność jego zaczęła się chylić do upadku, był jednak zachwycony powodzeniem syna. Jakże człowiek tak prawdziwie dobry, tak głęboko czujący, nie miał syna kochać? Zaprzeczyć nie można, że Aleksander miał czasem wybuchy fantazyi, ale obok tego nikt nie zaprzeczy. że kochał ojca z uczuciem synowskiem i uwielbieniem artysty.

Jako skromny sekretarz żyłem przez rok cały pod dachem Dumasa. Aleksander Syn, pomimo, że często nas odwiedzał, nigdy jednak uwagi na mnie zwrócić niechciał. Przyzwyczaił się on widzieć dom ojca przepełniony darmozjadami — patrzał więc na wszystkich chłodno i z dumą, co mu wielu nieprzyjaciół robiło. Ale w 6 czy 7 lat potem, w jednéj ważnéj okoliczności przekonałem się, że pod tą pokrywą lodowatą biło serce złote.

W obec mogiły pokrywającéj ciało wielkiego dramaturga i powieściopisarza, dziś z całą otwartością wyznać można, iż za życia wychylił on pełen puhar chwały i rozkoszy. W chwili nawet śmierci miał szczęście skonania na ramionach dzieci ukochanych. Ponieważ życie słało mu kwiaty pod nogi, więc i w przeddzień śmierci jeszcze doznał zadowolnienia z upadku rządu znienawidzonego.

Mówią, że Dumas był wysiłkiem natury. Potęga talentu jego tak była wielką, iż wszystkie słabości człowieka nie mogą ująć słusznie należnéj mu chwały. Przyszłość do któréj obecnie należy, rozróżni prawdę od fałszu; teraźniejszość, zachowa wspomnienie sympatyi i przyjaźni.

Biały anioł, złożywszy w kolebce nieśmiertelnego ducha i w chwili śmierci pamiętał o nim; bowiem ostatnie dnie życia nie były zasmucone nowem nieszczęściem pięknéj ojczyzny jego.

PAŁAC I FOLWARK.

Obrazy naszych czasów

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Ciąg dalszy.)

Wychodząc z folwarku Julian wyprosił się na przechadzkę ku sąsiedniemu lasowi. Kanonik z siostrą wracali sami. Szli długo zamyśleni oboje, smutni trochę, milczący.

„Przyznam ci się siostruniu“ po długim przestanku, szepnął Kanonik pochylając się ku idącéj z założonemi na piersiach rękami matce Juliana „przyznam ci się, że jakoś mi Julek.. teraz mniej smakuje niż kiedykolwiek. Dobry, poczciwy chłopak, ale już świat z niego uczynił swoją istotę, już nam dziecię nasze odebrał... już to jest zarodek człowieka po myśli wieku. Prawda, inaczéj być niemogło a mogliżeśmy go wychowywać gdzieindziéj!“

To było do przewidywania...

„Ja to sama widzę, głosem boleści pełnym“ odpowiedziała matka „a! widzę aż nadto, i boli mnie to... Jednakże, mój bracie, to są wrażenia młodości, chwilowe, przemijające... najgłębiéj w duszę wpaja się to co ona za młodu przyjęła... Powróci nam Julek nasz dawny... zobaczysz...“

„Daj to Boże“ westchnął Kanonik, „bo teraz my się nie zgodzimy. Proszęż cię, komu Bóg łatwiejsze usłał szczęście jak jemu?“

Trzeba być ślepym żeby nie widzieć tego, że poczciwa Zosia go kocha, może więcéj niż brata. Ostójski by ją dziś wydał... kupiliby dworek w miasteczku... praktykę by miał żylibyśmy w kupce jak u Boga za piecem. Uważałaś jaki był Julian zimny dla nich...“

„No, tego, kochany bracie, znowu tak bardzo ganić za złe mu mieć niepodobna“, ujęła się matka, „chłopiec drogi, niechce być winien wszystkiego Zosi, niechciałby by go posądzono o to, że się dla posagu ożenił...“

„Zapewne... tego bym mu nie zganił“ rzekł Ksiądz, „ale ja głębiéj sięgam w duszę... jest to i jest coś więcéj... ambicya! Nie pragnie nauki i sławy, jak to dawniéj bywało, — ale po dzisiejszemu chęć zużytkowania nauki i talentu dla zyskania majątku i pozycyi...“

„Mój drogi, możnaż tak sięgnąć w duszę człowieka?“ broniła matka.

„Winienem może, ale z rozmów Juliana wnioskuję, bodajbym się mylił“ dokończył Kanonik.

„Bóg widzi, to ożenienie ze śliczną, miłą, dobrą Zosią, to dla mnie było zawsze marzenie o które modliłam się do Boga, — no, dziś, trudno się łudzić — trudno! Będą tu różne krzyżować się wpływy i zajdą rzeczy... niespodziane. Zosię już ciągną do pałacu... Hrabina uczyni to dla Margockiego, który widocznie poluje na posag i majątek Ostójskiego. Dziewcze najpoczciwsze, ale młode i słabe, a urok pańskości na umysł młody wielki...“

Potrząsła głową staruszka.

„Nasze piękne sny i projekta trzeba pono pożegnać“ dodała...

„Niech to tam Pan Bóg sobie złoży jak wola Jego“ dodał Kanonik. „Żyłem długo na świecie, jedna mnie prawda uderzała nieustannie — bo to iż najczęściéj o co się człowiek najmocniéj stara, czego najgoręcéj pragnie, na złe mu wychodzi, czego się lękał, zbawić może. — Zdajmy się na Opatrzność i idźmy ufni w nią prostą drogą.

„A! tak! tak! kochany bracie“ powtórzyła matka Juliana, „ja też nic nie pragnę dla niego, tylko żeby czystym i poczciwym pozostał.“

„Amen!“ rzekł Ksiądz, „reszta dodaną mu będzie.“

Szli tak drożyną ku plebanii powoli, słońce było nad zachodem... Przez gęsty cień lip przy probostwie, przedzierały się złote promienie rysując fantastyczne na ziemi kobierce... Z ciemnych gąszczy liści, szczyt starożytnego kościołka strzelał ku niebu ze swemi gotyckiemi ozdoby... Z drogi już dochodząc wzgórze tó całe z murami, domami, szczytem tym, drzewy, ogrodem, wyglądało dziwnie powabnie i uroczyście. Bliżéj nad drogą jakby zapraszając do kościoła, stała na marmurowym słupie nowym, piękna figura N. Panny łaskawéj, którą Kanonik z dawna na nią grosz zbierając, w tym roku właśnie postawił.

Stanął tu naprzeciw tego krajobrazu, złożył ręce, jakby się modlił i rzekł z rozrzewnieniem do siostry:

„Mój Boże! jakże to u nas cicho, pięknie i miło! człowiek wzrósł sercem do tego kąta... ukochał go... umiłował i doprawdy, zdaje mi się, że na świecie nigdzie lepiéj, nigdzie piękniéj być nie może, aż strach, by za tę ziemską miłość Bóg nie pokarał, a nie rzucił gdzie ztąd daleko!“

„A! cóż to ty mówisz! co ty mówisz!“ zawołała siostra przelękniona, „gdzież, ktoby mógł? dla czego?“

Kanonik głową poruszył.

„Nie trwóż się, nie ma nic, a no tak czasem w serce obawa zastuka... Niepodobieństwa nie ma. Zwierzchność duchowna nie pyta nas... dysponuje sama a my posłuszni być powinniśmy... Inaczéj być nie może. Kościół ma wielkie do wypełnienia obowiązki, myśmy żołnierze Chrystusowi i gdzie nas postawią na placówce... winniśmy nieruchomi stać, każą iść — iść... Cóżbyśmy byli za kapłani, gdyby warga sarknęła a serce zabolało?“

Poszli milczący już ku probostwu... W miarę jak się zbliżali, niespokojna o swe gospodarstwo siostra pospieszała, ksiądz kroku zwolnił i pożegnawszy ją skinieniem ręki, ścieżynką w lewo wiodącą do furtki cmentarnéj skierował się ku kościołkowi, który był wszech jego starań celem, ukochaném pieścidełkiem. Chodził tak często w wolnych chwilach oglądając go, przemyślając czyby co dodać, poprawić, ozdobić nie można.

Cmentarz stary otaczający ową świątyńkę, obwiedziony był murem. Za dawnych czasów grzebiono tu umarłych. Znać jeszcze było w ziemi gdzie niegdzie wklęsłe szerokie płyty kamienne, na których słota i mchy napisy powyjadały. W ściany też kościoła dawnym obyczajem powprawiane były rzeźbione wieka... Ten cmentarz dawniéj trochę opuszczony i zarosły, Kanonik lubiąc to miejsce, postarał się przeistoczyć na istny ogródek... Porobiono tu ścieżki piaskiem wysypane, zasadzono kwiaty i krzewy, popodnoszano grobowe kamienie i krzyże. Teraz wyglądało tu świeżo i malowniczo wielce. Wikary tylko znajdował, że to była elegancya niepotrzebna przy domu Bożym...

Gdy Kanonik szedł, postrzegł zaraz w progu kościoła kościelnego, który tam coś porządkował i zamiatał, a dywanik jakiś wytrzepywał. Spotkanie z nim miłe było zawsze Kanonikowi, bo też mimo gderliwości i fukania, nie było poczciwszego serca ni człowieka nad starego kościelnego tutejszego. Kochali się nawzajem.

Chociaż teraz w szaréj długiéj chodził kapocie, z twarzy zaraz wyglądał kościelny na to czém był — na dawnego żołnierza. Sumiasty wąs siwy, głowa była jak kolano pokryta czarną czapeczką, oko niewielkie wypukłe, nos garbaty, dawały mu jedną z tych twarzy, jakiemi Orłowski starą szlachtę swą piętnował. Był też pono szlachcicem pan Warmski, znany pospolicie pod nazwiskiem Eliasza. Za młodu służył pod Kościuszką, lat swoich dobrze niewiedział. Od kościuszkowskich wypraw, przebył niewolę w Sybirze, potém zaciągnął się znowu do wojska i bił się jeszcze w r. 1831. Nosił też na kapocie zawsze kawał staréj wstążki virtuti militari. Od czasu, jak na jedną nogę w kampanii okaleczał i okulał, dostawszy się tu do kościoła, już go nie opuszczał. Utrzymywany jego staraniem, był w największym porządku i czystości. Kanonik i on żyli w prawdziwéj serdecznéj przyjaźni. Eliasz kochał też Julka jak własne dziecko, matkę jego poważał, służył i im też z wielką serca radością i był szczęśliwym aż do przybycia ks. Leona. Pierwszy raz go zobaczywszy zaraz, pokiwał głową, niepodobał mu się, „ten nam tu piwa nawarzy!“ rzekł do siebie, „z oczów mu patrzy źle! o! źle!“

Zdaje się, że Eliasz też nie miał szczęścia się podobać ks. Leonowi, bo od pierwszych dni, wiecznie coś miał mu do zarzucania, a stary nie krył się z tém, iż go znieść nie mógł. Nie uchybił mu w niczém, nie sprzeczał się nigdy, nie odpowiadał nawet, gdy się odzywał do niego, ale stanowczo rozkazów jego nie wypełniał bez konfirmacyi Kanonika.

„Co to tu on będzie burmistrzował!“ mówił, „jać służbę znam .. on tak dobrze zostaje pod ordynansem Kanonika jak i ja? W nie swoje rzeczy nosa wścibiać — wara. — No — osoba duchowna. — Zna się uszanowanie, zawsze pomazaniec i kapłan — wszelako jabym wolał, żeby mu gdzieindziéj choć probostwo dali, byle go tu nie było. On tu nam porządek psuje i ciągle niby coś nowego chce wymyślać.“

Tę niechęć bardzo wyraźną, Kanonik usiłował o ile możności uśmierzyć — jakoż poskromił łatwe jéj wybuchy: bo Eliasz znał karność i praktykował ją po żołniersku — tylko — uczucia swe w sobie schowawszy, nie łatwo się ich wyrzekał. Wikary ze swojéj strony skarżył się ciągle na starego wiarusa, usiłując go precz wyrzucić pod pozorem niedołężności i wieku, Kanonik stanowczo odmawiał.

„Póki mnie tu, póty i jego“, mówił krótko i wyraziście.

Trzepiąc dywan, cały pokapany woskiem, stary mruczał i spluwał...

„Co ty tam gderzesz, Eliaszu?“ spytał Kanonik zbliżając się.

„A jak niemam gderać? jak się niemam oburzać? co ja tu poradzę! co!“ mówił Eliasz. „Kobierzec stary, bo to podobno jeszcze z pogrzebu nieboszczyka generała do kościoła się dostał, poleli go woskiem... dziury powypalali, a ks. Leon na mnie się napusza, że ja w takim stanie go zaściełam, że ja powinieniem go odświeżyć! co ja mu zrobię? jak? czyść go, myj, wyłupuj, trzep... nic tu nie poradzi...“

„Wiesz co, panie Eliaszu“, rzekł Kanonik, „aby ten przedmiot drażliwy z oczów usunąć, schowaj go do skarbca i — po wszystkiem.“

„No — to ołtarza przed Ś. Antonim nie będzie czém zasłać“, rzekł Eliasz... „to ten — potém powie, że gołe sto-

pnie i że to obraza Pana Boga, niechlujstwo, zaniedbanie...“

„Jest na to rada“, zawołał Kanonik, „mam dywanik, który mi nie jest potrzebny, ofiaruję go chętnie pod stopy Ś. Antoniemu...“

Eliasz spojrzał i głową potrząsł.

„Nie potrzeba — ja wiem, że to wasz ostatni i że na wypadek drogi, siana nie będzie czém zasłać...“

„Albo to ja podróżuję!“

Eliasz zajął się kobiercem znowu, ale pancerz wosku, którym był oblany, nie dozwalał ani pomyśleć o odczyszczeniu...“ Stali tak oba medytując nad nim.

„A ks. Wikary gdzie?“ spytał Kanonik.

„Już pojechał czy poszedł... Przybył tu Stasiek Wątróbka, bo mu Pan Bóg dał dziecko i ono słabe, chciał chrztu a kobieta spowiedzi, bo też nie zdrowa... domagali się ks. Kanonika ..

„A byłoż mi dać znać!“

„Chciałem! szedłem, to mnie ofuknięto — i wyrwał się Wikary...“ rzekł żołnierz. „On się teraz wszędzie wyrywa, gdzie nie potrzeba i choć go sobie nie życzą, a to tylko, aby JMść. ks. Kanonika nie dopuścić. Ja jestem głupi, ale ja to widzę już, że on chce wyprzeć zewsząd JMść. Wszystko niby z gorliwości bierze na siebie! Dobrze! a tymczasem gada, że Kanonik stary, niedołęga, marzyciel i do niczego...“

Kanonik się zarumienił.

„Tego on nie mówi i nie prawda! Eliaszu... daj pokój.“

„Mówi, ale ostrożnie i po cichu, po cichu. Wie, dobry człeczek gdzie co rzec i jak! O! wie!“

Rękę wiarus podniósł do czoła i śpuścił ją z wielkiem wzruszeniem.

„Ty bo go nie lubisz?“

„A ktoby go lubił? ta — to gorzkie jak pieprz...“ odparł stary... „a chytre...“

„No — już chytre — prosze cię, dosyć tego“, rzekł Kanonik, „dosyć.“

„Bądź wola twoja, księże Kanoniku, dosyć, ani słowa, ino to jedno dodam“, szepnął stary, „że jegomość go kiedyś poznasz lepiéj — ino będzie po czasie — więcéj nie powiem.“

(C. d. n.)

WESTALKA.

U stóp ołtarza, w śnieżystéj bieli,
W blasku świętego ogniska,
Jakże niém sama, w oczach czcicieli,
Kapłanka jego odbłyska!

Wieszcz w Jéj spojrzeniu myśl swą zapali,
Natchnienie z ust Jéj nań wionie;
Od Niéj w Rycerzu, jak odblask w stali,
Duch poświęcenia zapłonie.

Przed Nią z pokłonem, z miejsc swych, na Forum,
Ojce ojczyzny powstaną;
Znak Jéj wytrąci topór Liktorom,
Nad głową na śmierć skazaną.

Bo tak chce światem władnąca Roma,
By dać tém wiedzieć po świecie,
Jak czci niewinność, ani się sroma
Świętość uwielbić w kobiecie.

A hołd czci takiéj, bez prac i trudu,
A taki tryumf bez walki,
Wiek w wiek ma w sercach bożego ludu
Niewiasta z duszą Westalki.

Jąłby więc mogły, czy szał zapału,
Czy tak zwieść myśli pokusa,
By z swéj wysokiéj czci piedestału
Skoczyła w orszak Bachusa?

Jéjżby to, zamiast brać hołd w świątyni,
Na rynku przed gminem pląsać,
I zamiast władać berłem bogini,
Tyrsą bachantki potrząsać?

Onażby mogła, nad chórów modły,
Nad kornych westchnień hymn cichy,
Sprośnych Satyrów przenieść śmiech podły,
Lub wrzask przy brzęku w kielichy?

Onażby miecąc na wiatr, jak włosy,
Tak i zasłonę dziewiczą,
Wzięła za tryumf, że pjane głosy
„Ewoe!“ dla niéj zakrzyczą?

Nie, Nie! świętego ognia kapłanko!
Nie dla cię pląs Bachusowy!
Tak jak nie tobie, duszo-chrześcianko!
Dzielić szał pychy wiekowéj,

Co i niewiastę, prądem zakrętu,
Z cienia domowéj zagrody,
Porwał jak wicher, i w wir zamętu
Niesie, pod hasłem swobody.

Ty wiesz, że wolność nie jest w swéj woli;
Wiesz, z Kim tę wolę zespolić,
By serce naprzód z złych żądz niewoli,
Myśl z próżnych marzeń wyzwolić.

Ty wiesz, nad światem moc władnie czyja;
Znasz dział niewiasty i męża:
Że co on tylko siłą podbija,
Ona miłością zwycięża.

Że przez nią tylko, co on dokona,
Na święty idzie pożytek;
I co on tylko buduje — ona
W Boży ma zmieniać pożytek.

I ty wiesz jeszcze — że jak w naturze,
Tak w ludzkich losów kolei,
Słońce i Wiara tylko, na chmurze
Malują tęcze nadziei.

Wierz więc i błagaj Matkę-Dziewicę,
Za błędną siostrą i bratem,
By z serc i z myśli burz błyskawice
W grom się nie zlały nad światem.

A. E. Odyniec.

Historya o dwóch parach zakochanych i o połowie trzeciéj

podsłuchana i spisana przez

Józefa Narzymskiego i Władysława Sabowskiego.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Takim sposobem się stało, że choć przyjazd Klińskiego do Małéj Woli był wyraźnie zapowiedzianym, nikt przecież na nim nie budował żadnych nadziei, i nikt go nie oczekiwał niecierpliwie, z wyjątkiem chyba pana Aurelego, który liczył na nowego partnera do gry ulubionéj i spodziewał się przytem spieniężyć swój zbiorek. Ani matka ani córki nie wiedziały nawet, że ten co miał przyjechać był taką wyborną partyą, łatwo więc pojąć można, jakie przyjemne na pani Sydońskiéj uczyniła wrażenie zjawiającą się w samą porę i to w tak niespodziewanéj osobie od dawna upragniona interwencya.

Okoliczności tak się złożyły, że przyjazd Stanisława do Małéj Woli stał się już w wilię pani Sydońskiéj wiadomym.

Kliński wyjechał dobremi końmi i bardzo rano, nie mógł jednak przybyć na miejsce jak bardzo późnym wieczorem, a nie chcąc w tak niewłaściwéj porze niepokoić gospodarstwa, zatrzymał się na nocleg w Pleszewie. Pan Aureli właśnie był także w mieście, zaproszony od kogoś na pulkę preferansa, i przypadek zrządził, że się z sobą spotkali i poznali.

Rzecz prosta, że Sydoński nie miał nic pilniejszego do roboty, jak zapowiedzieć żonie przyjazd gościa, i uczynił to bezzwłocznie przez umyślnego posłańca.

W przeddzień zatem przyjazdu Stanisława, pani Sydońska odebrała wieczorem od męża karteczkę mieszczącą następne wyrazy:

„Mój archeolog przyjedzie ze mną jutro w południe... przygotój wszystko na jego przyjęcie. Kart nowych ja sam przywiozę, dowiedziałem się że lubi preferansa. Nazywa się Stanisław Kliński, ma duży majątek, kilka pokoi zapełnionych samą archeologią... miły i bardzo grzeczny człowiek.“

Czy nieżonaty i czy młody o tem i teraz, pomimo napomnienia, mąż nic nie mówił, było to przecież dla pani Sydońskiéj zupełnie zbytecznem. Nazwisko tłómaczyło wszystko, gdyż jak wiemy, sława naszego bohatera sięgała aż w zakątki pleszewskie.

Pani Sydońska oznajmiła nowinę córkom oraz braciom Marmurkom, którzy właśnie przyjechali w odwiedziny, i dodała nawiasem:

„Nie wiedziałam, że ten pan Kliński zajmuje się archeologią i ma w swym domu muzeum archeologiczne.“

„Ja słyszałem o rozmaitych zbiorach w naszéj Wielkopolsce“, rzekł starszy z braci Cichowskich, „lecz o zbiorze Klińskiego nigdy...“

„Ani ja“, dodał Ignacy bezpotrzebnie, gdyż przy ich nierozłącznym stosunku niełatwo było o rzecz jakąś, o któréjby mógł jeden słyszeć a drugi nie wiedzieć wcale.

Ta uwaga Marmurków dała dosyć do myślenia pani Sydońskiéj.

„Kto wie?“ mówiła sobie, „a może ta archeologia jest tylko pretekstem, zamówką... ten pan Kliński oddawna szuka żony i jakoś znaleźć sobie według gustu nie może... mógł mu kto coś wspomnieć o Halince albo o Julci i myśli tutaj spróbować szczęścia?... W każdym razie, czy tak jest, czy też nie jest, człowiek młody, bogaty, wyborna dla Cichowskich ostroga.

Im dłużéj małżonka pana Aurelego medytowała w ten sposób, tém bardziéj zaczynała wierzyć, że archeologia jest tylko pozornym a Halinka lub Julcia rzeczywistym powodem przyjazdu posażnego kawalera, w końcu zaś nie rozbierała zupełnie prawdopodobieństwa swoich przypuszczeń, lecz przyjmując je za pewność myślała tylko o tém która z dwóch będzie szczęśliwą, do któréj ów mniemany archeolog uderzy.

Zbytecznem byłoby mówić, że reszta wieczoru i cały ranek w Małéj Woli zeszły na przygotowaniach do przyjęcia oczekiwanego gościa.

Pani Sydońska sama wybrała cztery kaczki na potrawę, i po raz setny powtórzyła kucharzowi teoryę robienia meringów ze śmietaną, pan Aureli który wrócił późno, własnoręcznie wyszczotkował do czysta zielony stolik, przeliczył marki i złotka, i dopiero spokojny z téj strony, zabrał się do okurzania swoich starożytności.

Nawet panienki jakoś świąteczniéj się poubierały. Halinka drobne papilotki nad czołem, Julcia długie angielskie loki z tyłu nosiły do południa pozawijane, co się tylko zdarzało w razie spodziewanych wizyt braci Marmurków, lub gdy na wieczór gdzieś jechać miały.

Ale wszak dziewczęta były zakochane... zawoła kto może... Ale nie, nikt tak nie zawoła, bo przecież każdy trochę zna kobiety i wie, że to jedno drugiemu nie przeszkadza bynajmniéj...

Kobieta kiedy nawet kocha, a tém samem kokietuje tylko jednego, wszystkim jednak podobać się pragnie. Czyż nie prawda?... odpowiedzcie szczęśliwi małżonkowie! do waszego się świadectwa odwołujemy... Nie prawdaż że gdy wy widujecie żony wasze w rozmaitych, nie zawsze estetycznych negliżach, gdy dla was istnieje główka upstrzona kolącemi papilotami, koki, szyniony, wprawiane ząbki, turniury i cały arsenał cudzych wdzięków, dla świata, dla innych, są tylko lśniące pukle zachwycających włosów, jest płeć białością rażąca, są formy zawrót głowy sprowadzające... A jednak wy tylko kochani jesteście... wam tylko żony wasze chcą się wydać pięknemi...

I nasze téż bohatereczki, choć sercem przylgnęły do niezdecydowanych wielbicieli, kobiecym przecież wiedzione instynktem, stroiły się jak mogły na przybycie bogatego chłopca.

Nareszcie po południu przyjechał...

Pan Aureli wracając z miasta, nie omieszkał wstąpić do sąsiada i proboszcza i zaprosić ich na preferansika. Kliński więc prócz domowych, zastał i chudego, wysokiego, siwego pana Grochowskiego majora z 30 r. i księdza.

(C. d. n.)

PAŁAC W ROKOSOWIE.

(Z ryciną.)

Ujechawszy wyborną żwirówką z miasteczka Krobi w kierunku Ponieca kilka wiorst, ujrzysz naraz przed sobą w odległości ćwierć milowéj ogromną masę drzew śród wyniosłéj równiny, jak gdyby klomb olbrzymi, z pośród którego wychylają się dwie poważne baszty i dachy czerwone. Jest to prześliczna wieś Rokosów. — Jeżeliś ciekawy zapoznać się z nią bliżéj, opuść żwirówkę, udaj się w prawo drogą prowadzącą przez obszerną dolinę, w któréj zieleniejące się łąki, poprzecinane licznymi rowami, ozdobione szeregami krzaków wierzbiny, olszyny lub drzew dorosłych, przypomną ci żyzne Żuławy, — a w dobry kwadrans ujrzysz się już śród ogrodów i pięknych zabudowań gospodarczych. Nagle łamie się droga w prawo; tu nowy dla ciebie przedstawia się widok; na tle ciemno zielonych drzew śród pięknych trawników ukaże ci się w całéj swéj okazałości poważny, imponujący masą murów w stylu romańskim (lombardzkim) zbudowany pałac. Wiele mu dodaje życia i powabu otaczająca go z trzech stron w kształcie podkowy woda, kilka akacyi i rozłożystych lip, które opierając się na nim, na próżno usiłują dorównać mu wzrostem, chociaż wiekiem o wiele go przewyższają. Drzewa te zdobiły przed trzydziestu laty inny, skromny pałacyk, do którego dwa zwodzone prowadziły mosty.

Zewnętrzną stronę pałacu przewyższa znacznie urządzenie wewnętrzne. Wnijdźmy do niego frontowemi drzwiami. Tu nam zaimponuje rozmiarem, harmonią pojedyńczych części, starannością w ich wykończeniu wspaniała sień, podzielona na trzy części dwoma rzędami kolumn marmurowych, na których się opiera jéj sklepienie. Zdaje się jak gdyby architekt cały swój talent rozwinął na to, aby przychodnia zaraz na wstępie zadziwić.

Lecz wstąpmy teraz do kaplicy, gdzie nas zaprowadzą drzwi w lewym frontowym narożniku sieni.

Świątynię tę o szczupłych rozmiarach, o wysokiem sklepieniu opierającém się na ośmiu cienkich nieco do ścian wrośniętych słupach, zdobi na przeciw drzwi stojący ołtarz z kopią udatną Madony Murylla, po prawéj dwa małe ładne obrazki z historyi świętéj, — po lewéj piękny obraz przedstawiający Chrystusa klęczącego w Ogrójcu, oryginał Pawła Veroneza. Zresztą nie ma tu ani wykwitności stylu, ani bogactwa i rozmaitości w ozdobach, a pomimo to całość mile oddziaływa i ciągle nas w tym stanie utrzymuje.

Podobnież gustowne a przytem z wszelką wygodą połączone jest urządzenie wewnętrzne pałacu.

Ale okazałemu temu gmachowi nie ustępuje wcale pod względem sztuki rozległy ogród angielski, który go dokoła otacza. Założony ze smakiem i znajomością a z starannością utrzymywany, wiele przedstawia dla oka rozmaitości i miłe na nas sprawia wrażenie. Liczne ścieżki wiją się jak węże śród zielonych trawników, na których to grupami, to pojedyńczo porozrzucane stoją drzewa a kilka stawów połączonych szluzami z sobą, dzielących ogród jakby na dwie połowy, wiele dodają mu życia.

Majętność rokosowską nabył w końcu zeszłego wieku od rodziny Skoraszewskich generał Lipski, adjutant Stanisława Augusta; w r. 1825 przeszła ona w ręce hr. Józefa Mycielskiego a od r. 1867 jest własnością ks. Adama Czartoryskiego.

Właściwym odnowicielem Rokosowa jest hr. Józef Mycielski; przemienił on go, że tak powiem z gruntu. Kto wieś tę przed trzydziestu widział laty, dziśby jéj nie poznał wcale. Gdzie się teraz piękny angielski ogród rozpościera, zobaczyłbyś wtenczas najprozaiczniejszy sad, tu i owdzie wierzby, topole, krzaki, doły zarosłe chwastem; gdzie dziś wybornym brukiem wyłożona droga przez wieś przechodzi, ujrzałbyś wtedy zwłaszcza na jesień lub wiosnę, długą kałużę błota, w którém koła po osie brodziły.

I obecnego pałacu jest założycielem hr. J. Mycielski; budowę jego rozpoczęto w r. 1844 a ukończono w r. 1858 pod dyrekcyą architekta Stylera z Berlina.

Również zupełnéj zmianie podpadły zabudowania gospodarcze: zamiast drewnianych zaniedbanych, dziś wszystkie murowane, oddzielone wysokim murem od reszty wsi, nie mało się przyczyniają do upiększenia Rokosowa.

Najwięcéj jednakże podnosi zasługę hr. J. Mycielskiego jego ojcowska opieka nad ludem, który wydobył z chat

brudnych, walących się, umieścił w zdrowych, porządnych i pięknych domach. Nie jedno miasteczko mogłoby pozazdrościć wsi téj. To też pamięć jego żyje w sercach wdzięcznego ludu i pewno przejdzie na późne pokolenia.

Szkoda tylko, że budowle wspomniane, głównie obce wzniosły ręce. Czy brak u nas ludzi fachowych? Pewno nie ma ich tyle co obcéj narodowości, — znalazł ich przecież hr. Tytus Działyński do wspaniałego kurnickiego zamku, gdzie obca ręka ani jednéj cegiełki na mur nie włożyła, ani jednego w drzewo nie wbiła gwoździa. Niestety! u nas mało kto pojmuje tak jak on patryotyzm.

Karol K.

PRZEGLĄD BIBLIOGRAFICZNY.

W Warszawie wyszedł prospekt na dzieło Dra Laforet'a pod tytułem „Dzieje filozofii starożytnéj" własny nakład i tłomaczenie Dra Władysława Miłkowskiego.

W Krakowie Dr. Gustaw Roszkowski wydał „O istocie i znaczeniu filozofii prawa."

W Poznaniu wyszedł „Rocznik Teatralny, pod tytułem Goplana." Nakład Dyr. Teatru w Poznaniu p. Lecha Nowakowskiego.

W Dreźnie drukiem J. I. Kraszewskiego wyszła broszura „Do artystów Polskich, w sprawie Muzeum Rapperswylu" przez T. Lenartowicza. Dochód przeznaczony na korzyść Muzeum.

W Warszawie wyszedł prześliczny „Zbiór poezyi" Antoniego Kolankowskiego pod tytułem „Łzy i uśmiechy."

Nakładem S. Czarnowskiego i Spółki wyszedł w Warszawie przekład z M. Chevaliera „Wpływ swobód ekonomicznych na postęp społeczeństwa."

W Warszawie wyszła rozprawa w języku moskiewskim „O dźwiękach nosowych w językach Słowiańskich" A. Kryńskiego.

W Poznaniu wyszła mowa ks. kanonika Polkowskiego miana r. z. na posiedzeniu Towarzystwa Przyjaciół Nauk p. t. „Słów kilka w sprawie uczczenia Mikołaja Kopernika."

W Krakowie wyszła Tragedya w pięciu aktach p. t. „Car Borys Fiodorowicz Godunów" przez hr. A. K. Tołstego.

W Warszawie nakładem Glücksberga zaczęło peryodycznie wychodzić „Muzeum sztuki Europejskiéj" obejmujące kopie na drzewie wykonane, arcydzieł Galeryi Europejskich, portrety genialnych artystów i t. d.

W Poznaniu nakładem J. K. Żupańskiego „Ułomności nasze narodowe i społeczne, oraz środki ku sprostowaniu tychże," przez Maksymiliana Jackowskiego.

W Krakowie wyszły Bajki i powiastki Stanisława Jachowicza, w illustrowanéj edycyi z 24 drzeworytami, rysunki I. Kossaka, W. Gersona, H. Pikarda, H. Pilatego. Wydawnictwo Czytelni ludowéj.

W Warszawie, w drukarni Gazety Polskiéj: Pierwsze zasady krytyki powszechnéj napisał Aleksander Tyszyński prof. b. Szkoły Głównéj.

W Dreznie w drukarni J. I. Kraszewskiego Wilia i jéj brzegi przez hr. Tyszkiewicza.

W Dreznie w drukarni J. I. Kraszewskiego wyszedł szósty i ostatni zeszyt Harmonii Ekonomicznych Bastiata, tłomaczenie pani Eweliny Ahrens.

W Poznaniu wyszła rozprawa Dra Romana Szymańskiego: „O siłach moralnych w ustroju społecznym.

W Poznaniu wyszła Prelekcya Dra Łebińskiego: O Podstawach Przemysłu.

W drukarni J. I. Kraszewskiego wyszedł pierwszy tom „Dziejów Polski" Morawskiego. Całość składać się będzie z sześciu tomów obejmujących dzieje od epoki Piastów, aż do naszych czasów. — Nakład J. K. Żupańskiego.

W Warszawie nakładem Michała Glücksberga wyszła świeżo „Historya Literatury Polskiéj przez Leona Rogalskiego. 2 tomy in 8vo. (blisko 100 arkuszy ścisłego druku.

Szarada.

W prost czytane, jest rzeka, wspak, zwierz i litera,
Kto chce znaleść, do karty niechaj się zabiera.

(Rozwiązanie szarady w Nr. 4: ***Fryderyka.***)

Korespondencye Redakcyi.

Panu Adamowi Wysockiemu. Gościeszyn pod Wolsztynem. Wkrótce żądany spis przeszlemy. Z nadesłanéj pracy, pomimo jéj wartości korzystać nie możemy. Za pamięć i względy dla pisma — podzięka. — Panu A. K. z B. „Nasza zima" nie będzie drukowana. — Autorce poezyi pod tytułem „Zielona mogiła, W rocznicę zgonu Syrokomli, Wiosna wraca." Prosimy o adres. — Panu Fr. Gwiazdowskiemu w Kossowie pod Gostyniem. Tłomaczenie bardzo udatne. Wkrótce zamieszczone będzie w Sobótce. Dziękujemy. — Panu W. S. Autorowi Wyprawy do Rogalina. Być może udatne, ale nie do użycia w Sobótce. — Pani N. N. w X. Odpowiemy w wolniejszéj chwili listownie.

Nakład i Redakcya księgarni M. Leitgebra i Spółki. — (M. Leitgeber i St. Tułodziecki w Poznaniu.) — Czcionkami W. Deckera i Sp. (E. Röstel.)